

GŁOS KATOLICKI

TYGODNIK WYCHODŹSTWA

25 (788)

NIEDZIELA, 20 czerwca 1976

ROK XVIII

KIM MA BYĆ ŚWIĘTY?

Kim ma być święty w dzisiejszych czasach. Działaczem społecznym, politycznym, mistykiem, ascetą? Taki problem porusza artykuł opublikowany w amerykańskim tygodniku „Time”, który na okładce zamieścił portret Matki Teresy z Kalkuty. Również jeden z ostatnich numerów tygodnika „Paris Match” poświęcił obszerny artykuł omówieniu życia i działalności Matki Teresy.

Matka Teresa poświęciła się od 1947 roku wyłącznie pracy dla najbiedniejszych ludzi na całym świecie. 1300 wysłanników miłosierdzia — 1132 siostry i 150 braci pracuje w 67 krajach, w Jemieniu, Gezie, Australii, Peru, ale także w Nowym Jorku. Londynie i Rzymie. Pomagają nawet tym, którym nie można pomóc — umierającym. Praca ta wymaga żelaznej dyscypliny — wstaje się o 4,30 i pracuje do późnej nocy. „Wiek i zyskany autorytet nie zmienił Matki Teresy, mimo że spotyka się z Papieżem i premierem, ale wciąż sama dba o swój skromny strój. Otrzymała szereg międzynarodowych nagród włącznie z indyjskim orderem Lotosu i pierwszą watykańską nagrodą pokoju papieża Jana XXIII, ale traktuje je wszystkie jedynie jako dowód uznania, że biedni są naszymi braćmi, że istnieją na świecie ludzie, którzy potrzebują pomocy, którzy pragną opieki, którzy chcą być komuś potrzebni”.

Artykuł w „Time” zatrzymuje się nie tylko przy problemie Matki Teresy, mówi również o istnieniu świętych poza Kościołem katolickim — wśród protestantów, buddystów, żydów. Dietrich Bonhoeffer i Albert Schweitzer są świętymi wśród protestantów, mimo że protestantyzm świętych nie uznaje. Cadyś są świętymi dla Żydów. Chodzi o osobowe wzorce dla współczesnego świata.

Może jest nim Dom Helder Camara — brazylijski kapłan katolicki, Matta El Meskin — koptyjski mnich, siostra Selma Mayer — żydowska działaczka społeczna w Jerozolimie, Dorothy Day — współpracowniczka Chabeza, twórczyni katolickiego związku robotników, John Lewis — ksiądz działający w Zairze. Wszystkie te przykłady wskazują, że dzisiejsi święci są działaczami społecznymi. Potwierdzają to również przytoczone opinie, między innymi George’a Webbera, kierującego nowojorskim seminarium teologicznym: „kiedy myślę o świętym dzisiaj — mówi on — myślę o osobie, która jest gotowa

poświęcić całe swe życie walce o sprawiedliwość”. Inni twierdzą, że coraz bardziej pożądani będą mistycy. Zachodni chrześcijanie często wymieniają brata Roberta Schutza, założyciela francusko-protestanckiego klasztoru w Taizé. Brat Schutz proponuje młodzieży, która się dookoła niego gromadzi, życie oparte na modlitwie. Oto inny model współczesnej świętości.

Autor artykułu, mówiąc o wartościach, jakie przynoszą nam żyjący święci, pisze: „Może być w tym wyzwalająca prawda. Może w świecie, który obecnie tak silnie dotknięty jest pogonią za przyjemnościami, obecność świętych wśród nas jest wskazówką konieczności pewnej poprawy”.

JEDEN PROCENT DLA TRZECIEGO ŚWIATA

Prezydent Tanzanii, Julian Nyerere, w czasie pobytu w Londynie powiedział do członków Królewskiego Towarzystwa Commonwealthu: „Mogę mówić do was tylko i wyłącznie o jednej sprawie, o ubóstwie. Kraj mój w gruncie rzeczy nie należy do Trzeciego Świata, ale do czwartego. Znajduje się on na samym początku trudnej walki z głodem. Walka ta stanowi istotny problem naszej działalności”.

Z pewnością wy macie tu, w Wielkiej Brytanii, milion bezrobotnych, ale oni wszyscy dzięki waszemu systemowi ubezpieczeń społecznych mają zapewniony każdego dnia posiłek, mogą nadal wysyłać dzieci do szkoły. U nas ten, kto nie pracuje, jest pozbawiony najbardziej podstawowych rzeczy...

Za podniesienie waszej stopy życiowej my płacimy wzrostem naszego ubóstwa. A to nie może trwać. Przyszłość, by wasi przywódcy mieli odwagę

powiedzieć ludziom: już jesteśmy dostatecznie bogaci”.

Przed rokiem biskupi australijscy zwrócili się do wiernych z apelem, by ci zrezygnowali z takich luksusów, jak kolorowe telewizory i prywatne baseny kąpielowe wobec tragicznej sytuacji Trzeciego Świata.

Istnieje we Francji ruch młodzieżowy „1 % dla Trzeciego Świata” z siedzibą w Rennes (14 rue de Rival), skupiający kilkaset młodych ludzi. Próbują oni przekonać społeczeństwo o konieczności przekazania 1 % swego dochodu rocznego na ludzi biednych w Trzecim Świecie.

Prezydent Banku Światowego, dwa lata temu oświadczył, że kraje o najwyższej stopie życiowej muszą obniżyć swój standard i zwiększyć kredyty dla krajów najbiedniejszych.

Ciało i Krew

Ostatnia Wieczerza... Jezus bierze chleb. Odmawia nad nim błogosławieństwo. Potem gesty łamania i rozdawania chleba. I słowo Boga Człowieka: „**Bierzcie to jest Ciało moje**”. Potem bierze kielich winem wypełniony. Odmawia nad nim błogosławieństwo. Podaje go uczniom i mówi: „**To jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana**”.

To już było kiedyś powiedziane. Jeszcze przed Wieczernikiem. Było to w synagodze w Kafarnaum. Zaraz po cudownym nakarmieniu tysięcy rzesz kilkoma chlebami. Jezus wtedy Żydom odstał nową Rzeczywistość. A słowa były twarde i szokujące:

„Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest ciało moje na życie świata” (J 6, 51). Ale po tych słowach ustąpił entuzjazm Żydów. Zapomnieli o cudzie nakarmienia i „sprzecali się między sobą mówiąc: Jak On może nam dać swoje ciało do spożycia?”

Jezus nie cofa żadnego ze słów. Nie ucisza zgorznienia. Mówi twardo, bez żadnej przenośni: „Zaprawdę powiadam wam: Jeżeli nie będziecie spożywali ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje ciało i pije moją krew, ma życie wieczne. A Ja go wskreszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja prawdziwym napojem. Kto spożywa moje ciało i krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca. tak i ten, kto Mnie spożywa, żyć będzie przeze Mnie. To jest chleb, który z nieba zstąpił — nie jest taki jak ten, który jedli wasi przodkowie, a poumierali. Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki”. To powiedział ucząc w synagodze w Kafarnaum” (J 6, 53-59).

Żydzi pierwszy raz coś podobnego słyszeli. To na pewno było twarde i szokujące. Tym ludziom Jezus nie zostawił żadnej ścieżyny na wzniosłe uogólnienie. Ciało znaczy ciało, a krew znaczy krew. Życie znaczy życie, czyli przeciwieństwem terazniejszości.

„Jezus spinał — zauważa Tadeusz Żychiewicz — w jednoś to, co jest na dole, z tym, co jest w górze. Dotykane i doświadczalne spinał z niepojętym. Ziemię z wiecznością. Człowieka z Bogiem. Czynił to jednak w sposób bezpośredni i twardy... Musiał wiedzieć o tym: dlaczego sznirają i czemu rozruch się staje w synagodze. Ale widocznie nie można było inaczej. Stał przed ludźmi i odstał przed nimi pewną rzeczywistość, która jest taka właśnie — i nie ma na to żadnej rady, cokolwiek chcieliby o tym mniemać albo i nie mniemać ludzie. Mówił: ciało moje, krew moja za życie świata. I za żywot wieczny. I oczekiwał zafania”.

A przecież daleko jeszcze było do Wieczernika. Jeszcze nie wziął chleba do ręki i wina, owocu ziemi i pracy rąk ludzkich. Jeszcze nie wypowiedział nad nimi słów: to jest ciało moje, to jest krew moja. „W synagodze w Kafarnaum stał przed ludźmi Jezus i mówił rzeczy zgola niepojęte: że trzeba, aby najdosłowniej pożywali jego ciało i krew. Misterium zawarte było w tych słowach przerażających”.

Misterium Eucharystii — chleba w Ciało, wina w Krew przemienionego — ustanowione w Wieczerniku przez Jezusa Chrystusa. Jezus godził się wówczas na przyszłe poświęcenie. Tu stał się już Ofiarą. W dniach, które nadchodziły miał ją dopełnić i cierpieć. Mógł już zatem wypowiedzieć słowa: „To jest ciało moje, które za was będzie wydane”. „To jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana”. Było w tym istotne pogodzenie Boga z ludźmi. Mógł mówić Jezus, żeby wszyscy zjednoczyli się z Nim, łączyli się z Ciałem i z Krwią.

Po słowach konsekracji Jezus dodał: „To czyńcie na moją pamiątkę”. Miało

to znaczyć, że trzeba, aby ludzie wszystkich czasów i wszystkich krajów mieli możliwość uczestniczenia w Jego Ofierze. Jezus kazał swym najbliższym powtarzać Jego gest i słowa, aby Ofiara Jego trwała poprzez czas i przestrzeń, aby ludzie wszystkich epok i wszystkich kontynentów mogli być obecni i uczestniczyć w tej wielkiej chwili. On daje siebie na Ofiarę i wzywa ludzkość całą do uczestniczenia i wspólnoty w tej Ofierze.

Oto czym jest naprawdę misalny stół! Do uczestniczenia przy Stole Chleba jesteśmy zaproszeni. Nie ma tu przymusu. Jest natomiast przestroga: „Jeżeli nie będziecie spożywali ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie” (J 6, 53).

W Uroczystość Ciała i Krwi chcemy sobie uświadomić:

Że nie możemy być biernymi widzami.
Że jesteśmy zaproszeni na Ucztę.

Że ona wciąga nas w tajemnicę

Chrystusa.

Chcemy sobie zdać sprawę, że idąc do Stołu Jezusa posłuszni jesteśmy woli Ojca i ukrytym natchnieniem Ducha Świętego, przynagającym nas do życia wiecznego: „To bowiem jest wołanie Ojca, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, miał życie wieczne” (J 6, 40). Dziś należy spojrzeć głębiej na naszą komunie. Stoimy tutaj wobec tajemnicy miłości Boga do nas. Stajemy wobec niewypowiedzianego i tajemniczego powołania: stać się — „jako Chrystus”. Jesteśmy Jego własnością, Jego wybranymi, i dla tego przychodzi do nas i oddaje się nam, na własność.

Ciało i Krew Jezusa Chrystusa — Pokarm Syna Człowieczego — to nasze życie, nasza światłość.

Roman Duda omi

Ulicami wielu dziś miast przejdzie procesja Bożego Ciała. Choć są miasta, w których procesja ta się już nie odbywa... To nie! Istotę Eucharystii stanowi nie procesja Bożego Ciała, lecz innego rodzaju „procesja”. Tworzą ją ci, którzy otaczają ołtarz, karmią się Ciałem i Krwią Chrystusa i zjednoczeni w Jego miłości odchodzą od ołtarza do domu i dalej. Jest to prawdziwa procesja Chrystusa po ulicach świata, przy których nasze domy stanowią ołtarze z Ciałem Pańskim, przebywającym we wspólnocie chrześcijan. Procesja z monstrancją jest tylko zewnętrznym i widzialnym znakiem tej niewidzialnej i wewnętrznej wędrówki Boga między ludźmi.

Co czeka nas po śmierci?

Radio londyńskie nadało szereg audycji na temat życia pozagrobowego. Były to wypowiedzi przedstawicieli różnych wyznań, a nawet ludzi niewierzących. Poniżej drukujemy fragmenty wypowiedzi ks. kard. Suenensa, arcybiskupa Brukseli.

W ostatnich latach dziennikarze zasypywali mnie pytaniami, nieraz bardzo podstępnyimi: Co myślę o środkach antykoncepcyjnych, przerywaniu ciąży, rozwoju demograficznym, równouprawieniu kobiet, itp. Nigdy dotąd nie postawiono mi pytania zasadniczego: Co dzieje się z człowiekiem po śmierci? Dlatego cieszę się, że dziś mogę na ten temat mówić...

Pozwolę sobie opowiedzieć historię mojego powołania kapłańskiego. Kiedy miałem 7 czy 8 lat żyłem już mocno pod wrażeniem wieczności. Usłyszałem wtedy kazanie, które pozwoliło mi zrozumieć, że wieczność nie zna czasu i przestrzeni, że „zawsze oznacza zawsze”, że życie ziemskie jest ogromnie krótkie w stosunku do tego „zawsze”. Postanowiłem więc wybrać wieczność, przygotowując się do niej w czasie krótkiego życia. Stąd powstało moje powołanie do kapłaństwa, ponieważ myślałem, że najlepszym sposobem osiągnięcia szczęścia wiecznego jest przygotowanie jak największej liczby ludzi do tego szczęścia, poświęcając życie na głoszenie innym Ewangelii, która jest drogą ku wieczności.

Gdyby już nic nie istniało po śmierci, życie dla mnie straciłoby wszelki sens. Nie potrafiłbym wtedy zrozumieć ani cierpienia, ani prawdziwej miłości. Obie te rzeczywistości potrafię pojąć jedynie w perspektywie wieczności. Cierpienie nie może być bezsensowne, absurdalne, nie może być ostatnim słowem życia. Możemy je wytłumaczyć jedynie, jako ból rodzenia się do innego życia.

Wyobraźmy sobie dziecko w łonie matki, świadome już przed przyjściem na świat. Wydawać mu się będzie wszystko pozbawione sensu, cała ta ciemność we wnętrzu matki. Ale w dniu, w którym dziecko się narodzi i ujrzy światło słońca, „nonsens” życia w łonie matki znajduje swoje wyjaśnienie. Zrozumiemy wtedy, że to życie było nowicjatem,

wstępem do innego życia, przygotowaniem nowej przyszłości.

Ten obraz jest dla mnie symbolem życia: przygotowujemy się do momentu narodzenia. Oczywiście słoneczna perspektywa przyszłej wieczności nie rozprasza wszystkich tajemnic jednak pozwala mi przynajmniej odkryć zasadnicze światła, które rozświetlają drogę.

Jeżeli życie ziemskie jest przygotowaniem, nowicjatem, więc wyjdę z ciemności, jak promień, który rozjaśni całe moje istnienie. To, co powiedziałem o cierpieniu, jest również prawdziwe w stosunku do miłości. Nie potrafię zrozumieć miłości prawdziwej, głębokiej bez pojęcia „zawsze”. Człowiek w miłości instynktownie odrzuca wszelkie ograniczenia. Prawdziwa miłość chce istnieć zawsze, nigdy nie zaznać końca. Jest wołaniem o zwycięstwo życia nad śmiercią!

Umierającego Leona Bloy zapytano: „Co czujesz teraz?” Odpowiedział: „Ogromną ciekawość”. A ja chciałbym, aby moja odpowiedź w momencie śmierci brzmiała: „Odczuwam ogromne zaufanie w miłość Boga”.

Bv wyjaśnić życie pozagrobowe, ku któremu zdążamy, należy odpowiedzieć na pytanie: „Kini jest Bóg?” Jest celem, końcem naszych poszukiwań i ziemskiej wędrówki. Wiem, że pełnię życia wiecznego otrzymałem w dniu mojego chrztu. Zostałem ochrzczony w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, co znaczy, że Bóg już jest we mnie jako brama prowadząca do Jego miłości na zawsze. Umrzeć, oznacza spojrzeć nowymi oczyma na wielkość Boga i odkryć ze zdumieniem, jak bardzo był On obecny w moim życiu codziennym, w moich radościach i bólach. Życie przysze będzie dla nas jakimś wielkim składaniem podzięk. Umrzeć — oznacza wejść do radości Pana, do Królestwa Bożego i odnaleźć w Nim wszystkich świętych, którzy nas wyprzedzili w drodze: Maryję i apostołów, świętych wszystkich czasów, wreszcie tych, których kochaliśmy na ziemi.

Często rozważam słowa św. Teresy: „W niebie nie będzie obojętnych spojrzeń”. Co za szczęście! Tutaj na ulicach miast, na dworcach i lotniskach oglądamy na co dzień tyle twarzy napię-

tych, wykrzywionych... Przypatrzcie się dobrze tym twarzom: tak rzadko dostrzega się na nich uśmiech. Każdy się spieszy, każdy zajęty własnymi sprawami, nikt nie ma czasu popatrzeć na drugiego... Jest nas tysiące na tej samej ulicy, w tym samym mieście i nie znamy się wzajemnie.

Niebo — to życie w prawdziwej wspólnotcie, rodzinie. Już nie będziemy żyli odizolowani od innych, anonimowi, samotni. Bóg będzie wszystkim we wszystkich. A wspólna nam radość polegać będzie na wzajemnym oglądaniu się nowymi oczyma i podziwianiu tego, co Bóg dokonał w każdym z nas, oglądaniu Boga jaśniejącego w swoich stworzeniach, oglądaniu Jego piękna i miłości, we wszystkich, których będziemy spotykać wiecznie — „zawsze”...

Taki jest cel, dla którego zostaliśmy stworzeni. Przypomnijmy sobie słowa św. Augustyna: „Niespokojne jest serce dopóki nie spocznie w Tobie, Panie”. Dla chrześcijanina życie pozagrobowe jest odpoczynkiem i pokojem z jego braćmi znanymi i nieznanymi.

Na pytanie: „Co czeka nas po śmierci?” — jest jedna odpowiedź: śmierć jest początkiem, a nie odciecim. Przechodzimy z czasu w wieczność, ze śmierci do życia. Porzucamy przejściowe cierpienia i wkraczamy w radość bez końca. Błogosławiony bądź Boże, za to życie przysze.

kard. L. I. Suenens



Le Swiato KATOLICKIEGO

GŁÓWNY OLTARZ KONGRESU EUCHARYSTYCZNEGO

Dwaj architekci z Filadelfii wygrali konkurs na projekt ołtarza, przy którym w dniu 8 sierpnia br. 500 księży odprawi uroczystą Mszę św. na zakończenie 41 Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego.

Sekretarz ds. wykonawstwa Kongresu ks. Walter Conway oświadczył, że projekt ten został wybrany zarówno z uwagi na jego wartość estetyczną, jak i z uwagi na to, że proponuje najlepsze rozwiązanie, jeśli chodzi o pomieszczenie ponad trzystu tysięcy wiernych, którzy wezmą udział w uroczystości zakończenia Kongresu. Ołtarz na „stadionie Johna F. Kennedy'ego” będzie miał ponad trzydzieście metrów wysokości będzie więc widoczny ze wszystkich miejsc terenu otaczającego stadion. 87 tys. osób będzie mogło zająć miejsca siedzące na stopniach stadionu, a kilka tysięcy osób pomieści boisko w południowej części ołtarza.

JUBILEUSZ 700-LECIA KOLEGIATY W NEUCHATEL

Kolegiata w Neuchatel, jedna z najpiękniejszych średniowiecznych budowli sakralnych w Szwajcarii, obchodzić będzie w tym roku (8 listopada) 700-lecie swego istnienia. W uroczystościach, które będą miały charakter ekumeniczny, weźmie udział wielu przedstawicieli różnych wspólnot wyznaniowych. Budowa kolegiaty, zakończona 8 listopada 1276 r., trwała prawie 100 lat.

KALENDARZ UROCZYSTOŚCI, ZEBRAN

20 VI — Pielgrzymka do Sionu (Wschodnia Francja).

— Pielgrzymka do Lisieux (Normandia).

27 VI — Zlot KSMP w Vaudricourt.

FILM O ŻYCIU ŚWIĘTEGO JANA BOŻEGO

W Grenadzie (Hiszpania) nakręcany jest obecnie film o życiu św. Jana Bożego, założyciela Zgromadzenia Szpitalników. Tam właśnie św. Jan Boży rozpoczął swoją działalność wśród najuboższych chorych. Zgromadzenie założone przez św. Jana Bożego prowadzi obecnie wiele szpitali w różnych częściach świata.

PIELGRZYMKA DO NEVIGES

Droży Rodacy!

Tegoroczna pielgrzymka do Neviges w RFN odbędzie się stosownie do zaprowadzonej od kilku lat tradycji, w trzecią niedzielę miesiąca, przypadającą w tym roku na dzień 20 czerwca. Będzie jej przewodził nowy Przełożony duszpasterstwa polskiego na RFN — po śmierci ks. infułata E. Lubowieckiego — ks. rektor Stefan Leciejewski. Uroczystości rozpoczynają się procesją do bazyliki pielgrzymiej o godzinie 9.30.

Komitet Pielgrzymki

PODZIĘKOWANIE

wszystkim, którzy okazali wieie serca, pomocy, współczucia i życzliwości w czasie choroby, oraz oddali ostatnią przysługę

śp.

AGNIESZCE GZIK

podprzełożonej III Zakonu
św. Franciszka

Szczególne podziękowanie duchowieństwu, oraz bratnim organizacjom za wydelegowanie pocztów sztandarowych, składa

Zarząd III Zakonu
św. Franciszka
przy Kościele
Polskim w Paryżu.

UCZESTNICTWO W NABOŻENSTWACH

Jak donoszą ostatnie statystyki. 1/3 dorosłych Kanadyjczyków regularnie uczestniczy w nabożeństwach. Wyniki tej ankiety przeprowadzonej wśród 5 tys. osób wykazały pewien spadek liczby regularnie praktykujących, która wynosi obecnie 32 proc. Natomiast jeżeli chodzi o katolików, to liczba ta jest znacznie wyższa i wynosi 51 proc. Na drugim miejscu znajdują się protestanci (28 %) a na trzecim Żydzi (13 proc.). 75 proc. ankietowanych oświadczyło, że modli się regularnie lub od czasu do czasu.

EMIGRACYJNA PIELGRZYMKA DO

L O U R D E S

od 5 do 12 sierpnia 1976

MODLITWA WIERNYCH

Zgromadzeni wokół ołtarza wznieśmy nasze błagania do Boga, przez Chrystusa, który stał się dla nas pokarmem na życie wieczne.

1) Za Kościół Boży, aby coraz szerzej po świecie rozdzielał Ciało i Krew Chrystusa, błagajmy Pana.

2) Za narody, które cierpią głód i za bogatych, aby przez rzetelny podział dóbr wszyscy mieli dostęp do chleba.

3) Za ludzi, którzy cierpią i przelewają krew, aby potrafili łączyć swoje cierpienia z ofiarą Chrystusa.

4) Za dzieci, które po raz pierwszy przystępują do komunii św., aby żyły zjednoczone z Chrystusem przez całe życie.

5) Za nas tutaj zgromadzonych, którzy spożywamy ten sam Chleb, abyśmy byli dla świata znakiem braterstwa.

Panie Jezu Chryste, który pozostałeś wśród swojego ludu i karmisz go swoim Ciałem i Krwią, wysłuchaj naszego błagania i zaspokój nasz głód, abyśmy Ci dzięki składali przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Za naszą i waszą wolność

— Później... — twarz mu się zasępiła a oczy powlokły się martwością. — Później przyszła ta krwawa wojna Miejscowość, w której mieszkaliśmy znajdowała się w pobliżu frontu. Nic dziwnego, że pewnego dnia nadszedł rozkaz ewakuacji wschodniej części Lotaryngii. Wyjechałem stamtąd i osiedliłem się tutaj, zakładając nowe ognisko małżeńskie, ale tym razem z Francuzką...

— A co się dzieje z Dolinską i jej dziećmi?

— Nie wiem. Straciłem z nimi wszelki kontakt. Jeśli żyją, to pewnie myślą, że ich ojciec zginął w zawirusze wojennej. Jeśli zaś ich zmiotła ta wojna, to... Panie! świeć nad ich duszami!

Tej nocy Dolecki nie mógł zmużyć oka. Nowa myśl kołatała mu w głowie: „Mimo pozorów, jednak Polacy zbliżeni są bardziej do aniołów niż do diabłów”.

Dolecki przebył u Walkowiaków trzy dni. W ciągu tego czasu Walkowiak używał wszelkich możliwych sposobów w komisariacie policji i na merostwie tak długo, póki Dolecki nie otrzymał karty tożsamości i świadectwa demobilizacyjnego. Te dwa dokumenty były dla niego w obecnym czasie najważniejsze. Mógł posługiwać się nimi tak wobec władz francuskich jak i okupacyjnych oraz mógł być bez trudności przyjęty do każdej pracy, jaka by mu odpowiadała. Trzeciego dnia pod wieczór Dolecki został przeprowadzony przez Walkowiaka przez most graniczny w Amiens i skierowany na drogę prowadzącą ku Północy. Nie obyło się przy tym bez gorących słów i braterskich uścisków. Dolecki widział w tym pierwszym zetknięciu się z emigrantami polskimi poza wojskiem znak łaski Bożej i rękojmiej powodzenia na przyszłość.

Szedł więc nowymi drogami przepełniony uczuciem zadowolenia i radości.

„Ludzie nie są tacy źli jak się wydają — mówił sam do siebie. Każdy z nich wprowadzić usiłuje występować pod maską, która mu się wydaje najbardziej odpowiednią, ale maska nie zawsze podkreśla naturalne wartości człowieka. Częściej czyni z człowieka karykaturę, a więc ukazuje obraz niezgodny z rzeczywistością”.

Dolecki odzyskał teraz pewność siebie i szedł z ochotą ku swemu nowemu przeznaczeniu.

8

Lucyna kończyła mycie kuchni, gdy ktoś zapukał do drzwi. Odwróciła oczy zdziwiona. O tej porze nie spodziewała się żadnego gościa.

— Proszę! — powiedziała bez żadnego zastanowienia.

We drzwiach ukazał się młody człowiek, o zmęczonej twarzy, w której błyszczała para jasnych niebie-

skich oczu. Ubrany był w stary żołnierski płaszcz, spod którego wyglądało ciemne połatane ubranie już nie pierwszej młodości.

— Czy tutaj mieszkają państwo Wiśniewscy? — zapytał czystą polszczyzną.

— Tutaj odpowiadała cofając się w najciemniejszy kąt kuchni.

Dolecki odetchnął. Ogarnęło go uczucie niewymownej radości. „Wreszcie — pomyślał — doznałem do celu”.

— Czy Edward już wrócił? — brzmiało jego drugie pytanie.

Nie odpowiadała natychmiast. Tajemniczy lęk zrodził się nagle w jej sercu. „Czyżby ten człowiek był zwiastunem jakiegoś nieszczęścia?”. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie uświadamiając sobie o co mu właściwie chodzi.

— Nie — wykrztusiła wreszcie. — A kto pan jest? Czy pan znał Edwarda?

— Jestem Jan Dolecki. Edwarda poznałem w wojsku... On był moim najlepszym przyjacielem. Dał swój adres i prosił, żebym go odwiedził. Myślałem, że już wrócił? Miał różne zamiary, ale wojna tak szybko zmieniła swoje oblicze, że... myślałem... człowiek głową muru nie przebije. Trzeba się dostosować do warunków i poddać się woli Przeznaczenia, aby nie zginąć... bo w tej wojnie już dosyć nagięło...

Mówił szybko, gorączkowo, jakby pragnął wylać z piersi całe morze nękającego go uczucia. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy z kim ma do czynienia. Domyślał się tylko, że stoi przed nim siostra Edwarda, Lucyna, ale nie był tego zupełnie pewny. Stał przed nią pośulny i drżący, chociaż ta bojaźń i pokora nie wyłaniała się ze słabości ani ze strachu, ale zbudziła się w nim na widok miłej osobki, która oczarowała go w jednej chwili swoim spojrzeniem i słowem. Lucyna nie była pięknoscią, ani kokietką. W swojej przykrótkiej sukience, opasana szerokim fartuchem stała przed nim ze ścierką w dłoni, jak prawdziwy Kopciuszek z bajki. Niewielka grzywka spadała jej kosmykiem na czoło, a na przybliżonej twarzy osiadł rumieniec zażenowania. Nieoczekiwany gość wywarł na niej również wrażenie.

Ochłonęła jednak szybko.

— Proszę!... Niech pan wejdzie... — zapraszała go do wnętrza. — Mama zaraz przyjdzie, poszła do sklepu po mięso... Ojciec wróci z roboty około drugiej...

— Dziękuję bardzo. Pani pozwoli, że najpierw oczyszczę się trochę... Szedłem przez cztery tygodnie pieszo i nie chciałbym narobić nieporządku — uśmiechnął się.

Odpowiedziała mu takim samym uśmiechem.

— To nic nie szkodzi. Codziennie myję mieszkanie... Ale jak pan sobie życzy?

(ciąg dalszy nastąpi)

LUDZIE SĄ TACY

NIEWIERNI... W Małajzi przyjęto uchwałę skierowaną przeciw łamaniu wierności małżeńskiej przez żonę. Za pierwsze wykroczenie karany jest przyjaciel żony, za drugie — żona, za trzeci — razem karę ponosi mąż. Niestety, uchwała nie zajęła stanowiska w sprawie łamania wierności przez męża. Czyżby nie było potrzeby?

O RAJU. Pod koniec lekcji katechizmu ksiądz pyta:

— Który z was chłopcy chciałby pójść do raju?

Wszyscy podnoszą ręce oprócz Jasia.

— A ty, Jasiu, nie chcesz pójść do raju?

— Nawet bardzo. Ale obiecałem mamie, że zaraz po lekcji wrócę do domu.

**156 MLN DOLARÓW ZA DOBRY U-
CZYNEK.** Zupełnie niespodziewanie na tablicy ogłoszeń kościoła Mormonów Salt Lake City wywieszony został testament zmarłego 5 kwietnia br. miliardera HOWARDA HUGESA. Jego majątek oceniony jest na 2 miliardy dolarów w fabrykach i kopalniach, własnościach ziemskich i kasynach. Największą sensacją stał się fakt, że jedną szesnastą fortuny — 156 mln dol. otrzymał nikomu nie znany 31 letni właściciel stacji benzynowej Melvin Dumar. W 1968 r. znalazł on ciężko ranne-
go Hughesa na szosie w stanie Nevada i dał mu 25 centów.

WDOWA. Pewna wdowa zwierzyła się Twainowi, że wkrótce wyjadzie za mąż po raz trzeci.

— Któż jest tym szczęśliwcem? — zapytał pisarz dwornie.

— Zamożny winiarz, bardzo solidny człowiek.

— Rozumiem — zauważył Twain. — Winiarze najlepiej wyznają się na starych rocznikach.

KRYTYK. W czasie dyskusji nad świeżo wydaną powieścią Aleksandra Dumasa pewien krytyk długo rozwodził się nad jednym zdaniem w tekście.

— Nie rozumiem — mówił — co może oznaczać powiedzenie, iż „boleśna próżnia zrodziła się w chwili słabości”...

— Jak w ogóle może boleć coś próżnego?

Dumas, który szczerze nienawidził krytyków, odpowiedział pytaniem:

— A czy nigdy nie bolała pana głowa?

Franciszka Rzymianka

Pod koniec XIV wieku w Wiecznym Mieście toczyło się coś w rodzaju wojny domowej. Bili się zasadniczo Colonnowie z Orsinimi, ale wszyscy inni mieszkańcy grodu byli od któregoś z tych potężnych rodów zależni, wobec czego zabijali bliźnich albo z ramienia Colonnów, albo z ramienia Orsinich. A tamci walczyli o majątki, stanowiska, tiarę papieską, o wpływy i po trochu dlatego, że do żadnej innej roboty się nie nadawali. Tylko liczne kościoły rzymskie były oazami spokoju, a żebracy oblegający schody i place kościelne byli poza sporem, bo całym ich majątkiem nieruchomym był błękit rzymskie go nieba, a majątkiem ruchomym jasnozielona kula słońca. Nie pożąдали też tiary papieskiej ani kapeluszy kardynalskich.

Patrzyła na to wszystko swymi dużymi, czystymi oczyma mała Franciszka, która u boku swej pogodnej i pobożnej mamy odpowiadała rzymskie świątynie i wciskała w wyciągnięte dłonie żebraków kilka soldów. To jej sprawiało żywiołową radość, ale nie rozumiała, ani nie próbowała zrozumieć, dlaczego tamci są biedni, a jej mama zawsze ma pieniądze. Nikt wtedy nie chciał zrozumieć, a ona była przecież mała, grzeczna dziewczynką. Jej mama, Jacobella de Roffredeschi, była śliczną jak Madonna, która w Padwie namalował Giotto di Bondone, dlatego właśnie, i może jeszcze dlatego, że miała niezły posag, została żoną Paolo de Bussi, człowieka dobrego, kulturalnego i umiejętniejszego przewidywać.

To on właśnie, w sposób możliwie serdeczny, ale kategoryczny, zakomunikował swej córce, że zostanie żoną niejakiego Lorenza Ponziani. Miałą być w oczach, bo skrycie inarzyła o życiu zakonnym. Jej paniński pamiętnik pełen był uniesień, poranków, słowików, fiołków i dziewiętych tęsknot. I nagle ten żyw, konkretny Lorenzo ze swoim majątkiem i swoją brodą. Ojciec zaznaczył, że tylko w ten sposób można uratować sytuację materialną rodziny. Po raz pierwszy rozumiała, że w życiu nie zawsze robi się to, na co się ma ochotę, że życie to nie tylko wiosenne poranki, słowiki, kwiaty: to także polityka, wyrachowanie, pycha, przełana krew i wyznaczenia. Miałą dopiero piętnaście lat.

Dom jej męża na Trastevere był zimny i ponury jak forteca, a mąż ograniczony i surowy jak cegła, ale na swój sposób kochał żonę, czego dowodem były między innymi dzieci, które rodziły się w regularnych odstępach czasu. Franciszka wniosła do tego domu dużo ciepła, a dzieci napełniły go gwarem i tym czymś, czym tylko dzieci potrafią napełnić pusty dom. Lorenzo był dumny i zmienił się nie do poznania. Stał się mniej szorstki, a były chwile kiedy zbliżał się wyraźnie do granicy subtelności. Często zapraszał teraz gości pod swój dach, bo było gdzie posiedzieć i było się czym pochwalić. Goście jedli, pili, bawili się. Lorenzo śmiał się od ucha do ucha i też za kołnierz nie wylewał. Był lekkomyślny i rozrzutny. Franciszka nie robiła mu jednak z tego powodu zarzutów, bo to w końcu jego dom, a ona też masę pieniędzy wydawała dla biednych. Lorenzo wiedział o tym i nie mówił nic. Służba donosiła mu też, że Franciszka często przebywa na strychu i modli się całymi godzinami. Lorenzo i w tej kwestii zachował się taktownie i powściągliwie. Nie mógł przecież żonie niczego zarzucić. Była zawsze nienagannie czysta, uprzejma, dbała o dzieci, była miła dla jego gości — mogła więc mieć swój margines, którego Lorenzo zupełnie nie rozumiał, ale tolerował a nawet szanował. Franciszka zaprzyjaźniła się serdecznie ze swoją szwagierką Vannezzą i razem z nią odwiedzała chorwych i biednych w najbardziej odległych i zaniedbanych dzielnicach miasta. Jej też zwierzyła się ze swoich niespełnionych marzeń i tęsknot. Vannezza słuchała uważnie i dojrzewała wewnętrznie.

Wszystko zważyło się nagle i niespodziewanie jak gwałtowna burza. Lorenzo, wmieszany w wojnę możnych rzymskich domów, został poważnie ranny i ledwo dowlókł się do domu znacząc swój powrót przekleństwami i różaniem utkany w ciemnej, gęstej krwi. Wnet za nim wtargnęła do domu na Trastevere bojówka rozwścieczonych Colonnów. Siepacze spustoszyli doszczętnie wszystkie komnaty i zabrali najstarszego syna jako zakładnika, wlokąc go do Neapolu. Lorenzo uniknął śmierci, ale mimo odniesionych ran nie uniknął niewoli. Potem przyszła bezlitosna dzuma. Franciszka patrzyła kolejno

na straszną i brzydką śmierć swoich dzieci. Została zupełnie sama.

I oto zaczyna się dzieć coś nieprawidłowego. Franciszka podnosi głowę, uśmiecha się, otwiera szeroko podwoje swoich pustych komnat i zaprasza do nich wszystkich biednych i bezdomnych. Sama zaś wyrusza codziennie o świcie do pobliskich wiosek, wyciąga ręce po jałmużnę albo siada na schodach któregoś z kościołów i tutaj czeka cierpliwie na kilka soldów. Jej wargi są w ciągłym ruchu, bo teraz nie może sobie pozwolić na to, by rozmawiać ze swoim Bogiem samotnie, na strychu. Czasem tylko przerywa modlitwę, uśmiecha się w zamyśleniu, bo widzi siebie jako ślicznie ubraną dziewczynkę, która u boku swojej matki podskakuje wesoło i prosi o kilka soldów dla takich jak ona.

Mechanizm łaski jest zaskakujący i paradoksalny. Franciszka, ogołocona ze wszystkiego, zaczyna jak magnes przyciągać ku sobie inne dobre istoty i razem z nimi na coraz większą skalę zajmuje się nędzą materialną i moralną Rzymu. W dniu Wniebowzięcia Matki Boskiej, w roku 1425, całe to znakomite i pobożne towarzystwo kłęczy przed cudownym obrazem Madonny w kościele Santa Maria Nuova i składa śluby zakonne, a potem przenosi się do starej wieży zamkowej, która odąd będzie ich wspólnym domem i portem. Franciszka poszła chętnie z nimi, ale właśnie wrócił z niewoli Giovanni razem z ojcem. Lorenzo często przeklinał, bluźnił, szarpał się, ale nie był zdolny do żadnego działania. Był człowiekiem — jak powiedziała Steinbeck — skończonym. Franciszka była mu wierna do końca. Dopiero gdy w głębokim zamyśleniu rzucała grudki gliny na jego trumnę, pozwoliła sobie pomyśleć o swojej przyszłości. Syn Giovanni prosił, żeby zechciała zająć się wnukami, żeby została z rodziną, ale ona spokojnie i zdecydowanie odmówiła. Kilka dni potem bosy, w jednej prostej sukni, prosi o przyjęcie w Torro de Specchi. Nareszcie spełniło się marzenie jej dziecięcych lat.

Odeszła od świata, żeby mu się zupełnie oddać. Widywano ją odąd w różnych porach dnia i nocy obarczoną ludzkimi troskami, sunącą cicho i prawie niepostrzeżenie w zaułki nędzy, a każde jej słowo było jak balsam, każdy jej gest przynosił ukojenie i nadzie-

ję. Jej płonące, duże oczy były często zapatrzone w tajemnicze rejony, niedostępne dla zwykłego zjadacza chleba.

W roku 1440 wiosna dała się mieszkańcom Rzymu szczególnie we znaki. Giovanni, zmęczony silną gorączką jak wielu innych, łgał, żeby matka przybyła do Trastevere. 3 marca Franciszka kłęzała przy łóżku chorego syna, zmieniała mu kompresy, przemawiała do niego serdecznie jak kiedyś, gdy był małym chłopcem. Wieczorem musiała odejść. Zrobiła zaledwie kilka kroków, kiedy poczuła gwałtowne zawroty głowy i zaczęła się zataczać jak ktoś, kto zbyt gruntownie zaglądał do kieliszka. Położono ją obok chorego syna. Eskulap stwierdził zapalenie opon i kazał leżeć. Do jej łóża przychodzili nieznanymi ludźmi i mieli żyły w oczach. 9 marca trzeba było zapalić gromnicę. Współsiostry zaczęły odmawiać modlitwy za konających. Kilka dni potem szeroka, milcząca rzeka ludzi odprowadzała na miejsce wiecznego spoczynku swoją matkę i świętą. Pochowano ją w kościele Santa Maria Nuova na Forum Romanum.

29 maja w roku 1608, papież Paweł V zaliczył ją w poczet świętych, zaś w roku 1925 Pius XI mianował ją, obok św. Krzysztofa i Eliasza, patronką kierowców.

Zmarły tragicznie sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjöld pisał kiedyś:

„Ale wyjaśnienie, dlaczego człowiek powinien żyć w czynnej służbie społecznej, w pełnej harmonii z samym sobą, jako członek duchowej wspólnoty — znalazłem w pismach średniowiecznych mistyków, dla których „samozaparcie” stało się drogą do realizowania ich osobowości, i którzy w absolutnej koncentracji i w zwróceniu się do wewnątrz znaleźli się, by mówić „tak” wobec różnych wymagań, jakie potrzeby bliźnich stawiały przed nimi i mówić z całą gotowością „tak” każdej kolejności, na którą by ich wprowadziło życie, gdy szli za wezwaniami obowiązków tak, jak je pojmowali.

Wiem ze swego doświadczenia, że ich odkrycia w dziedzinie praw życia wewnętrznego i postępowania ludzkiego nie straciły swego istotnego znaczenia”.

Marian BURZA

Migawki emigracyjne

LIST-APEL KOMITETU

BUDOWY POMNIKA KATYŃSKIEGO

36 lat temu, w kwietniu 1940 roku, sowieckie NKWD wymordowało około 14500 polskich jeńców, a 3 lata później, w 1943 wykryto w Lesie Katyńskim zwłoki ofiar jednego z najgorszych masowych morderstw w dziejach.

Od 1971 r. Komitet Budowy Pomnika Katyńskiego (Katyn Memorial Fund) zabiega o wzniesienie pomnika dla upamiętnienia tej straszliwej zbrodni. Przeważało wiele trudności. Nastąpiły nawet interwencje ambasady ZSRR wobec władz miejskich w Londynie. Umowa o budowę pomnika została podpisana. Odsłonięcie ma nastąpić we wrześniu br.

Tymczasem jednak koszty wszelkiego rodzaju wzrastały, a wydatków było więcej niż miano prawo oczekiwać. Komitet przewidywał, że suma zebrana dzięki szczodrości społeczeństwa, nie tylko pokryje koszty, ale nadmiar funduszy pozwoli na udzielenie pomocy cierpiącym niedostatek, rodzinom ofiar zbrodni. Nadzieje te okazały się zawodne. Dlatego też komitet zwraca się ponownie z apelem o datki w imię prawdy i sprawy człowieka.

Czeki wystawione na „Katyn Memorial Fund” prosimy kierować do hon. skarbnika, Mrs. O. Marcinek, 2 Onslow Gardens, London S. W. 7. Wszyscy ofiarodawcy otrzymają podziękowanie.

(—) Lord Barnby

(—) Lord George-Brown

(—) Sir Frederic Bennett

POLKA — PREZYDENTEM RCI. Warszawianka, pani Dali Schindler (nazwisko męża Szwajcara) założyła w Szwajcarii w 1943 r. Stowarzyszenie RCI (Rencontres Creatives Internationales), grupujące ludzi ze świata nauki, sztuki, gospodarki itp. Organizacja ta stawia sobie za cel tworzenie lepszej przyszłości. RCI, którego pani Schindler jest do dziś prezydentem, skupia obecnie ok. 40 tys. członków z całego świata. W kongresach, które odbywają się dwa razy do roku w Europie i Ameryce, biorą udział również Polacy, tak z kraju jak i zza granicy, jak np. prof. Władysław Tutarkiewicz, dyrygent Leopold Stokowski w Nowego Jorku czy prof. Walter Zachariasiewicz z Waszyngtonu.

Istotny problem

69

Kilka słów Chrystusa Pana wypowiedzianych w czasie Ostatniej Wieczerzy, a powtarzanych w każdej mszy św. jest punktem centralnym całej religii chrześcijańskiej i wiary naszej, oraz najbardziej istotnym problemem każdego człowieka, jego stosunku do Boga. Dając uczniom kielich krwi swojej Chrystus mówi: „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy: To jest bowiem kielich krwi mojej, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów”.

„Krew wylana na odpuszczenie grzechów”! Oto problem. On wszystko wyraża i dokoła niego wszystko się skupia. To problem człowieka obciążonego grzechem i oderwanego od Boga. To problem Boga, który tak ukochał człowieka, że sam siebie nie żałuje, byle tylko naprawić błąd człowieka. To problem życia — albo śmierci. Problem zbawienia. Problem ofiary Chrystusa i mszy św. Dlatego nie można go pominąć — mówiąc o mszy św.

Problem grzechu. Trzeba mu wiele więcej miejsca i czasu poświęcić — niż na to pozwalają rany naszego rozważania. Jest on szczególnie aktualny, a nawet palący, w naszej dobie. Tym bardziej, że o grzechu prawie w ogóle się nie mówi. Nawet wielu księży, z jakimś dziwnym uporem unika mówienia o grzechu, jakby się wstydzili, lub jakby byli zahipnotyzowani (również oni) najróżniejszymi teoriami „kompleksu winy” czy psychoanalizy.

Bez zbytniego wchodzenia w szczegóły trzeba jasno powiedzieć, że **przemilczanie grzechu i wszystkiego co z tym się łączy, jest współczesną i najbardziej niebezpieczną formą ateizmu i walki z Bogiem.** Następstw tego ateizmu nie trzeba wcale szukać. One się rzucają w oczy. To coraz większe zaniedbanie sakramentu pokuty oraz kryzys wiary.

Bo — jeśli nie ma grzechu, to jak można wierzyć w Boga? Jak można mówić o Bogu, który tak ukochał człowieka, że Syna swego dał, by nas wybawił od grzechu? Jeżeli nie ma grzechu pierwotnego, wtedy całe Pismo św., poczynając od pierwszych jego kartek, aż do końca — to jakaś nie kończąca się kpina ze zdrowego rozsądku. Jeżeli grzechu nie ma wtedy Chrystus i całe Jego nauczanie

nie o grzechu, całe Jego dzieło zbawienia, wszystkie sakramenty św. — to jedno wielkie oszustwo. Wtedy ofiara Chrystusa i krzyż — to bzdura, a każda msza św. — to jakaś bezmyślna komedia. Bo jak można mówić o Jego Krwi przelanej na odpuszczenie grzechów, jeżeli grzechu nie ma.

Dlatego, w naszych czasach, gdy o grzechu się nie mówi, albo nawet zaprzecza jego istnieniu — w rozważaniu o mszy św. nie można pominąć problemu grzechu. Człowiek zaplątany w sidła grzechu i oderwany od Boga — Bóg idący na ratunek człowiekowi — Chrystus i jego zbawcza ofiara — oraz msza św. — tak ściśle ze sobą się łączą, że gdyby jedno opuścić, wszystko inne traci sens, a religia nasza w ogóle się wali.

Jeżeli grzechu nie ma — wszystko inne jest kłamstwem. Jeżeli Bóg nie kocha człowieka i nie wyszedł mu na ratunek — nieprawdą jest cała nauka o zbawieniu, no i msza św. Jeżeli Chrystus nas nie zbawił — nieprawdą jest, że Bóg nas kocha i msza św. nie ma sensu. Gdyby mszy św. nie było — zbawienie nie byłoby pełne. Bo człowiek zbawiony na nowo upada, a upadły nie miałby dostępu do Zbawiającego Chrystusa. Natomiast cała Jego nauka o Jego ciele i krwi danej na napój i pokarm — nie miałaby żadnego praktycznego zastosowania. Tym samym całe zbawienie nie miałoby dla nas wielkiego znaczenia ani praktycznego skutku. Jak więc widzimy, w religii naszej wszystko się łączy. Gdyby jedno podważyć — wszystko inne się wali. Nie można więc uczynić dalszego kroku w rozważaniu o mszy św. bez — chociażby ogólnego — zagłębienia się w tajemnicę, ale też przepaść i dramat, grzechu oraz człowieka zniewolonego grzechem i oderwanego od Boga.

Pierwsze kartki Pisma św. w obrazowy sposób streszczają trzy zasadnicze prawdy wiary chrześcijańskiej. Bóg jest Stwórcą i absolutnym Panem wszystkiego, nie wyłączając człowieka. Stosunek Boga do człowieka objawia, że Stwórca jest nie tylko Panem, ale również Miłością oraz kochającym Ojcem. Bo stworzenie człowieka to owoc Jego miłości. Bóg bowiem ze wszystkim dzieli się z człowiekiem. Stworzył go na swój obraz.

To znaczy, że w ten sposób go stworzył, aby mógł być podobny do Boga. Dlatego też dał mu władzę nie tylko nad całym stworzeniem, ale również dał mu taką władzę, że człowiek może decydować o samym sobie.

Można powiedzieć, że w cielesnej opowieści człowieka, Bóg zamknął obraz samego siebie.

Trzecia prawda jaką nam dają pierwsze kartki Pisma św. — to prawda o grzesznym człowieku. Zaproszony przez Boga do współpracy nad doskonaleniem całego stworzenia — człowiek odrzuca współpracę, a samego siebie chce postawić na miejscu Boga. Na miłość i dobroć Boga — człowiek odpowiada niewdzięcznością. Zdradził miłość. Zamiast zaufać Bogu, któremu wszystko zawdzięcza, człowiek uwierzył kusicielowi. W tym jego dramat.

Wreszcie ostatnia prawda mówi, że jeżeli człowiek zdradził miłość — Bóg nie przestał być miłością. Nie przestał kochać człowieka, nawet tego grzesznego i nie cofnął obietnic danych człowiekowi, ani nadprzyrodzonego powołania człowieka. Wszystko jednak zależy od człowieka, który nawet grzechem uwikłany nie stracił władzy decydowania o sobie.

Bóg natomiast — jako nieskończona miłość — niczego nie zaniedbuje, aby pomóc człowiekowi do powrotu na drogę jego pierwotnego powołania i na drogę autentycznej wielkości oraz miłości. Całe dzieje zbawienia, cała treść Pisma św. — to nic innego jak dzieje tych ratowniczych wysiłków Boga, poczynając od pierwszej obietnicy Zbawiciela danej zaraz po upadku Adama i Ewy, a kończąc na zbawieniu dokonanym przez Chrystusa.

Dlatego, aby chociaż w przybliżeniu wejść w głębię tajemnicy „Krwi Chrystusowej przelanej na odpuszczenie grzechów” — trzeba zastanowić się nad grzechem. W świetle Pisma św. trzeba popatrzyć na istotę i naturę grzechu, oraz upadku człowieka. Najpierw bowiem trzeba poznać rodzaj choroby na jaką cierpimy, a dopiero potem stosować odpowiednie lekarstwa.

Podobnie jest z leczeniem człowieka z grzechu. Pojawszy naturę grzechu — łatwiej będzie pojąć istotę zbawczego dzieła Chrystusa, a w następstwie również wykorzystanie tego, co ono nam daje dla osobistego dźwignięcia się z grzechu, każdego pojedynczego człowieka.

Ks. Witold Kiedrowski

Kiedy Bóg stwarzał ojca...

NIECH BĘDĄ JAK OJCIEC NASZ W NIEBIE! — nasi ojcowie na ziemi.
NIECH BĘDĄ OGROMNI I SILNI — wielkością ducha i mocą miłości!
Niech darzą szczęściem swoją rodzinę i sami będą szczęśliwi!

Kiedy Bóg stwarzał ojca, rozpoczął swą pracę od zbudowania dużego rusztowania.

— Cóż to będzie za ojciec? — zapytał któryś z aniołów o rysach dziewczęcych. — Jeżeli, Boże, stworzyłeś dzieci małeńkie, dlaczego stwarzasz im ojca tak dużego? Będzie musiał uklęknąć, by bawić się z nimi w kręgle, będzie musiał głęboko się schylać, by położyć je do łóżeczka, czy ucałować na „dobranoc”.

Dobry Bóg uśmiechnął się.

— Oczywiście — powiedział — ale jeżeli ojciec będzie małeńki, do kogo dzieci podniosą oczy?

Kiedy Bóg ulepił ręce ojca, okazały się one wielkie i muskularne.

Anioł potrząsnął głową i rzekł:

— Tak wielkie ręce nie będą zdolne zapiąć małych guziczków przy marynarce, ani zgrabnie wpiąć kokardę we włosy dziewczynki, a co mówić o wyjęciu drzazgi, która wbiła się w palec.

A Bóg się uśmiechnął.

— Dobrze o tym wiem — powiada — ale te ręce są dość wielkie, by ująć w garść wszystkie drobiazgi, które z kieszonki wyciągnie mały chłopak, a równocześnie będą wystarczająco zgrabne, by w nich zamknąć twarzyczkę dziewczynki.

Następnie Bóg ukształtował długie nogi i ramiona szerokie.

— Ależ ten ojciec nie ma łona i w pasie wcięty, w ramionach tak szeroki, że z trudem utrzyma równowagę! — zaśmiał się anioł.

Bóg odpałił:

— To matka potrzebuje łona: ojciec musi mieć szerokie ramiona, by mogły uciągnąć saneczki, utrzymać w równowadze dziecko z trudem siedzące na rowerku, czy też służyć jako podpora pod główkę senną dziecka, gdy powróci z cyrku.

W dalszym ciągu Bóg utworzył dwie tak wielkie stopy, że anioł nie mógł się powstrzymać od okrzyku:

— To już zbyt niesprawiedliwe! Czy sądzisz, Boże, że tak ogromne człapy będą mogły zsunąć się z łóżka o świcie, gdy dziecko zapłaczę, czy będą mogły przesunąć się bezpiecznie w dziecięcej gromadzie; przecież gotowe strącać małeńkich gości zaproszonych na uroczyny synka.

Ale Bóg tylko się uśmiechnął i powiada:

— Zobaczysz, te nogi zrobią karłową! Będą odstraszać myszy kręcące się po mieszkaniu, a już prawdziwa uciecha będzie wkładać je do butów równie ogromnych!

! tak Bóg pracował całą noc. Obdarał ojca małomównością, ale głosem poważnym i stanowczym; dał mu oczy wszystko widzące, o wyrazie spokojnym i pełnym zrozumienia. A potem, jakby nagle jakaś myśl przysłała Mu do głowy, Bóg dał ojcu dar łez.

A zwracając się do anioła, zapytał:

— Czy jesteś teraz przekonany, że będzie zdolny kochać również, jak matka? Anioł nie odpowiedział, jakby uspokojony.

Erma Bombeck

PROCESJE

Tłum na jezdni i chodnikach. Zieleń. Kwiaty. Ołtarze. „Twoja cześć, chwala”. Słońce. Małe słonce monstrancji.

Procesje Bożego Ciała. Szczególnym przepychem odznaczały się w dawnej Rzeczypospolitej. Uświetniał je sam król z całym dworem i najwyższymi dostojnikami. Brały w nich udział wszystkie stany i bractwa, wojsko i cechy, ustawione w odpowiedniej kolejności. Oto jak ta uroczystość wyglądała w Krakowie, za Piastów, opisana później przez Deotymę:

„Było na co popatrzeć, nie tylko wzrokiem wiary, ale i wzrokiem ciekawości. Cały Rynek wyglądał jak jedna olbrzymia sala wystrojona odświętnie. Na dachach wisiły niezmiernie wielkie opony, bardzo wówczas upowszechnione, a choć tylko płócienne, ale z wymalowanymi na nich najróżniejszymi scenami ze Starego i Nowego Testamentu. Kwiatów było istne zatrzęsienie. A na dachach, na kominach, wieżyczkach (...) powiewały stukolorowe flagi, wisiły tarcze krańcujące od napisów i godeł.

Nad wszystko jednak suciej były wystrojone przysionki głównych kamienic, w których urządzano ołtarze. Tam już wisiły nie płótna ani sukna, lecz najcudowniejsze kobierce, jedwabne płaszcze i pończotyste rąbki, które bogaci ludzie zdjęli z własnych ramion i przypinali jako tła do świętych obrazów. Cały Rynek był wyspany woniejącym ziołem, a drogi, po których już przeszła procesja, odznaczały się nacentkowaniem od listków różnanych, że aż w sąsiednich ulicach pachniało. Na tych ziołach i kwiatkach kłębał tłum nabity, wielotysięczny. (...) A nie było może jednej piędzi ziemi w Krakowie, po której by orszak z Panem Bogiem nie przeszedł, bo jak tydzień długi, co dzień inne procesje ciągnęły, coraz to z innych kościołów, ażeby żadna część miasta nie czuła się pokrzywdzona”.



CHAGALL

„Kiedy spaceruję i widzę drzewa, denerwuję się, że są one silniejsze od nas”

Saint Point de Vence w południe. Marc Chagall zdecydowanymi ruchami ręki zanyma oszklone drzwi swojej willi „La Colline”. Na zewnątrz niebo jest jeszcze niebieskie. Na Lazurowym Wybrzeżu nie czuje się jeszcze zimy. Być może ta „wiosna 4 razy do roku”, usposabia melancholijnie tego 88-letniego człowieka. Dzisiaj, tak jak każdego dnia w roku, największy kolorysta epoki, który według słów Apollinaire’a wynalazł „nadprzyrodzonosc” w malarstwie, kończy swój spacer w ogrodzie oliwkowym otaczającym jego dom.

Każdego ranka o 8 godzinie, malarz jest przed swoim płótnem — widok bardzo intymny, którego jak za czasów młodości zazdrośnie chroni przed wzrokiem profanów. Przelewa na płótno „okrągłość” swoich myśli: kwiaty, drzewa, Chrystusa, wejście króla do miasta... Pędzlem, który jeszcze nie zadrsał w jego rękę, maluje cały ciąg „zdań”, w których jest mowa o jego dzieciństwie na wzór smutnej karuzeli, o zwierzętach bez oznak życia, o narzeczonych smutnych jak on, kiedy mieszkał w Witebsku.

Chagall był synem ubożego sprzedawcy w składzie śledzi. Rodzina jego żyła z inoizolnej pracy. Ale syn, jak chciało przeznaczenie, miał być artystą. Zgłosił się więc pewnego dnia do

Penna, profesora malarstwa i rysunku w mieście i jakając się powiedział: „Nazywam się Marc, mam wrażliwe wnętrze, nie mam pieniędzy, ale mówię, że mam talent”. Penne ustąpił przy pierwszym rysunku: tak, ma pan predispozycję w tym kierunku.

Opuścił więc Chagall Witebsk, aby wstąpić do Akademii w Petersburgu, stolicy carskiej Rosji. Dopiero w Paryżu jednak w nędnym zaułku przy Vaugirard, może dać upust swojej sztuce. „W Ruche — wspomina — byłem z Modiglianem, Légerem i Soutinem. Ale tylko ja sam płaciłem... 35 F za kwartał”. Świat, który dzisiaj wyrwa sobie jego płótna z tego okresu — bardzo rzadkie, gdyż wiele jest w muzeum — odkrywa go dopiero w 1915 roku, na wystawie w Berlinie. Ale jedynie Chagall nie wie o tym, wyjechał bowiem do Moskwy, w poszukiwaniu swojej narzeczonej, Beli.

Tam zaskakuje i porywa go rewolucja. W Witebsku, tak jak i w Moskwie, sztuka wyszła na ulicę, a Marka Zacharowicza Chagalla (później doda jeszcze jedno ! do nazwiska), mianowano komisarzem do spraw sztuki. Nie zostaje tu długo, jedzie znowu do Berlina, gdzie jest już sławny, ale zrujnowany, ponieważ w tym czasie 40 płócien i 60 malowideł, które zostawił, zniknęły zabrane przez kolekcjonerów za niską cenę, spowodowaną dewaluacją marki. Dalszy ciąg to powrót do Paryża i długi marsz na Zachodzie po sławę.

Dzisiaj świat szaleje za Chagalleną, za jego zielonym kogutem, czarnymi książkami czy krowami fruującymi po niebie.

Najmniejsze z jego płócien jest wyceniane na 100 000 F, a spośród piękniejszych licytowanych „Kosz z kwiatami”, praca z 1925 roku, w Nowym Jorku 17 października 1973, osiągnęła 250 000 dolarów.

Chagall o kruchej sylwestce, głowie przyprószonej siwizną patrzy swoim przenikliwym wzrokiem, czy to, co ofiarowuje, istotnie zgadza się z tym, co chce dać. Wszystko powinno być doskonale wykończone, według jego rozumowania: „liczy się tylko — powtarza jako swoją myśl — miłość do ludzi. Jedynie miłość może nas uratować”.

Naiwność czy chęć podobania się?

Jest czuły na wszystko. Zaledwie przygłuszony przez czas i przestrzeń, wchłania wszystko, co się wokół niego dzieje, co się o nim pisze. Malarz, któremu się schlebia, ma fizyczną potrzebę uwielbienia. Jedno proste zdanie może go unieść lub go zranić.

Nie znosi krytyki. Ona go unicestwia. On, Chagall „nadszarpięty”, potrzebuje balsamu, a nie gorczy. Biografowie denerwują go, gdy chcą spojrzeć z dystansu, gdy nie dostrzegają się do mistrza. Wówczas Chagall postanawia napisać dalszy ciąg swoich wspomnień. Pierwsza książka „Moje życie” ukazała się w 1922 r. w jego rodzimym języku. „Tylko w języku rosyjskim — mówi on — poezja słów, moja własna muzyka, wydaje mi się najwłaściwsza”.

W jego oczach. „nic nie istnieje ani pogoń za sławą, ani za dobrami materialnymi. To inne ma tylko znaczenie”. To inne? To, co istnieje w pewnym sensie z drugiej strony lustra.

Lazurowe Wybrzeże, w pełnym nieładzie, szumie buldożerów przygotowujących place budowy okropnych betonowych wieżowców Wzniesienie Gardedettes, chronione razem z mimozami, kolory malarstwa Chagalla, które przeciwstawia kolorom ze swego ogrodu, aby stwierdzić, czy wytrzymują szok przed gwałtem natury.

Walentya Brodsky, jego druga żona, jest jego ochroną. „Bez niej jestem stracony, ona reguluje każdą chwilę mego życia”. 88-letni człowiek, nie zakończył swego dzieła, nie opuścił go werwa życia, jest ciągle pełen pasji i chciałby kontynuować sen na wprost obudzony.

Człowiek, który chciałby być drzewem.

T. K.

POLSKIE SEMINARIUM DUCHOWNE W PARYŻU PRZYJMUJE KANDYDATÓW DO NIŻSZEGO I WYŻSZEGO SEMINARIUM

Jeśli masz maturę licealną, zostaniesz przyjęty do Wyższego Seminarium i będziesz mógł odbyć studia w Instytucie Katolickim w Paryżu. Jeśli nie masz matury, staraj się o przyjęcie do Niższego Seminarium, które przyjmuje kandydatów od jedenastego roku życia. Młodzież znająca dobrze język francuski uczęszcza do katolickiego gimnazjum a w Seminarium otrzymuje wychowanie religijne i polskie.

Wszelkich informacji udziela:

Rektorat Polskiego Seminarium Duchownego, 5 r. des Irlandais, Paris V-e